

ANTEK SIEROTA.

(Jedna z ofiar w r. 1863.)

W moskiewskim więzieniu siedział sierota u stóp księdza, na śmierć go dysponującego i tak opowiadał swoją przeszłość opłakaną:

— Byłem małym chłopcem, kiedy mój tatuś ciężko zachorował — ja siedziałem sam jeden przy nim i poraz pierwszy widziałem chorobę w naszej chałupie. Matusia bowiem oddała Bogu ducha wtedy, kiedy był jeszcze niemowlęciem. Kilka już nocy nie spałem, przysłuchując się skargom tatusia, a każde stęknienie lub silniejsze westchnienie przejmowało mnie ciężkim żalem. Przytem ogarniał mnie lęk niesłychany, że jakie tylko umiałem modlitwy, odmawiałem wtedy.

Było to w zimie. Noc wiodła, spokojna, z księżycem w pełni i jasniejącymi gwiazdami na niebie, które się odbijały w zamrniętej rzece. Śnieg skrzył się milonami światełek, co niby świętojańskie muszki błyszczały dokoła. Było więc pięknie na dworze, lecz strasznie w ubożuchnej naszej chacie i smutno w moim sercu strapiotnem.

Stałem długo przed sienią, patrząc na drzewa bezlistne, a w duszy modliłem się szczerze i gorąco — wreszcie pocichutku wszedłem do izby, poprawiłem ogień na kominię, a widząc, że mój tatuś usnął, wziąłem garść słomy i przy łóżku położyłem się na ziemi. Niedługo zasnąłem twardo; śniło mi się wiele... i ładnie. Widziałem dostatek w domu, a ojca zdrowego zupełnie.

I kiedy tak smacznie marzyłem, pod oknem pies zawył żałośnie... i tak złowrogo, że po całym ciecie uczułem zimne dreszcze.

Otworzyłem oczy i spojrziałem przed siebie; na kominię ogień wygasł, zimno dawało się czuć dotkliwie, tylko przez okienko księżyc zaglądał i oświecał twarz mojego ojca. Twarz jego była blada, oczy zapadłe głęboko, usta ściśnięte i sine, a boleść wyryta na czole.

Skoczyłem na równe nogi, pochwyliłem rękę tatusia i jednocześnie nadzwyczajny strach i rozpacz ogarnęły me serce — ręka tatusia była zimna i sztywna.

— Jezus Maryja! tatusiu — zawołałem — to ja, odpowiedzcie mi, otwórzcie oczy, bo ja się boję!

Odpowiedzi się nie doczekałem. Wtedy ten tatuś nieżywy na łóżku, ten pies pod oknem wyjący przeraźliwie, ta samotność w chałupie, wszystko wydało mi się tak straszne, tak okropne, że nie zważając na nic, wybiegłem z chaty jak szalony, nie wiedząc sam dokąd i po co? Zdawało się, że mnie coś pędzi, że jakaś dziwna siła do daje mi mocy, bieglem cłha równo z wiatrem. Naraz zatrzymałem się we dworze i ani wiem, kiedy tam przybiegłem. We dworze cicho, głucho, nigdzie żywej duszy. Wtem zgraja psów obkoczyła mnie w około i szarpać mnie zaczęła tak, że ani uciekać ani się bronić nie mogłem.

Wydałem okrzyk bolesny i padłem zemdłony na ziemię.

Kiedy otworzyłem oczy, ujrzawszy się w ładnym, czystym i ciepłym pokoju. Leżałem na białej pościeli, ręce miałem obwiązane jakimś szmatkami, a tuż przy łóżku, na małym stoliku stała miska blaszana ze zakrwawioną wodą. Na ścianach wiele obrazów dużych i małych, a pomiędzy nimi przeszły obraz Najświętszej Panny Częstochowskiej. Do niej też zwróciłem oczy, aby mi zesłać raczyła pociechę. Ręce i nogi tak mnie bolały, że nawet się ruszyć nie mogłem, a co najgorsza, że w pokoju tym nikogo nie było, do kogo mógłbym przemówić, lub spytać się, gdzie jestem.

Po niejakej chwili otworzyły się drzwi i weszła do pokoju jakaś niewiasta, pani, blada, czarno ubrana i tak surowo na mnie spojrzała, że strach mnie mrowiem przeszedł po ciele. Zwołna zbliżyła się do łóżka. Widząc, że ona nie mówi, jeno się patrzy, więc i ja również spoglądałem na nią. Nareszcie rzekła do siebie:

— Taki mały, a złodziej... cóżto będzie później!

I wyszła z pokoju.

Te słowa wydały mi się straszne.

— Mocny Boże! — zawołałem — oni może mnie mają za złodzieja, lub za jakiego nieponia, a ja przybiegłem tutaj prosić o ratunek!

I coraz smutniej myśli przechodziły mi przez głowę.

Posadźono mnie, żem złodziej; przypuszczając więc, że postąpią ze mną, jak ze złodziejem; a tatuś leżał nieżywy w chałupie. Żal ścisnął mi serce, łzy zakręciły się w oczach i serdecznie zapłakałem. Płacz ten z początku cichy, był głośniejszy, po niejakej chwili i musiał się niepodobać innym, bo wnet weszła jakaś podstarzała panna, wylegająca i stanawszy we drzwiach, zawołała groźnie:

— Nie będziesz cicho ty smarkaczu!... Czy ci tu źle!

— A już, że nie dobrze — odpowiedziałem — ja chcę pójść do tatusia.

— A to idź, nikt cię tu nie trzyma.

Po tych słowach obróciła się i wyszła, trzasnąwszy silnie drzwiami; zamiast pomocy, jeszcze na mnie krzyczała, posadzając, a i Bóg wie, co ze mną zrobić gotowi.

Zebrawszy ostatek sił, z trudnością nie małą podniosłem się na łóżku. Ubrałem się, jak mogłem najspieszniej, a że nie wiele miałem rzeczy, więc też krótko trwało moje ubieranie. Nie wiem skąd przybyło mi tyle siły i wytrzymałości — bo innym razem nie mógłbym się z łóżka podnieść, tak byłem osłabiony i pokaleczony! Wtedy jednak na wszystko byłem obojętny — nie mnie to nie obchodziło, że krew sączy przez białe szmatki, że nogi drżały z wielkiego osłabienia, jeno pragnąłem gorąco wyjść z tego domu, aby ucałować trupa rękę tatusia! — i szukać u biednych, jak ja, pomocy.

Mróż był siarczasty, słonko świeciło miłuchno, przez dziedziniec mało kto przechodził, nikt też nie zwrócił na mnie uwagi i szczęśliwie uszedłem.

Byłem temu rad niezmiernie. Słoneczko miało się już już zachodowi, kiedy ujrzawszy naszą chałupę.

O, niechaj wszystkich ludzi Bóg strzeże od podobnego witańia swojej zagrody rodzinnej, gdzie zamiast serdecznego uśmiechu, trupia bladeść powita was w chacie.

Kiedy wszedłem do sieni, serce gwałtownie mi biło. Płakać już prawie nie mogłem, bo wszystka boleść w sercu została.

Drzwi były otwarte do izby. Wszedłem, stanąłem we drzwiach i rzuciłem wzrokiem na łóżko. Przed nim sie-

dział pies nasz stary i patrzył się na nieboszczyka tatusia. A w izbie ciemno i tak straszno było, że oddechu mi brakło w piersiach. Pies, przybiegł skoro mnie ujrzął, jakby się chciał zalić, że gospodarz weale uwagi na niego nie zwraca. Pokręcił mi się u nóg, zaskowyczał z cicha i wzrokiem wodził mnie do łóżka.

Przynajmniej pies powitał mnie szczerze!

Ukląknę przy łóżku prawie bez przytomności — schyliłem głowę, zamknąłem oczy, i byłbym najszczęśliwszy, gdyby Pan Bóg się zlitował i zabrał mnie z tatusiem.

Na dworze miało się ku wieczorowi, a lubo noc była dla mnie najokropniejszą, w tej chwili, nie zwracałem na to uwagi, tylko szeptałem bezustannie "bądź wola Twoja".

Nagle pies zerwał się i zaszczekał, pobiegł do drzwi, w których ukazał się ekonom i ta pani z dworu czarno ubrana.

— A... jesteś ty nieponi! — rzekł ekonom. Dlaczego uciekłeś ze dworu?...

Za całą odpowiedź wskazałem na łóżko.

Wtedy pani i ekonom zbliżyli się oboje patrząc na nieboszczyka.

— A to co? — rzekła pani — nie żyje?

Wtedy głośnie zapłakałem. Pani litością przyjęta, rzekła do mnie łagodnie:

— Biedaku niepiacz! — rzekła — bo żałością swoją nie pomożesz — co się Bogu zabrać podobało, tego nikt powrócić nie zdoła. — I z dobrocią pogłaskała mnie po głowie. Ta niespodziana liłość rozrzewniała mnie jeszcze bardziej — utulić się nie mogłem od płaczu.

— Kiedyż to umarł? — spytał się ekonom.

— Wczoraj w nocy — odrzekłem.

— Tyś nam nie mówił? — rzekła pani.

— O, mój Boże! — toć ja pobiegłem do dworu po jakiś ratunek, ale psy mi pokaleczyły... zresztą któżby chciał o mojem nieszczęściu słuchać.

— Tosiś cię niesłusznie posadzili, biedny chłopcze i musimy ci tę krzywdę nagrodzić. Biegnij panie Anastazy do dworu — rzekła pani do ekonom — i opowiedz memu mężowi, jak się rzeczy-

mają i prosz go odemnie, aby przysłał jaką pomoc. Ja tu pozostanę i czekać będę, dopóki pomoc nie nadejdzie. Spiesz się! panie Anastazy. Ekonom skłonił się i wyszedł.

Ja tymczasem wstałem i jak mogłem roznieciłem ogień na kominię. Pani tymczasem wypytywała mnie litośnie o różne rzeczy.

(Dokończenie nastąpi.)

"CELERY NERVINE".

Najsukuteczniejsze lekarstwo na wszelkie słabości nerwowe. Leczy paraliż, dyspepsję, nauręgię, reumatyzm i wszelkie choroby żołądka, wątroby, nerek i czyszy krew; do nabycia tylko w aptece

S. T. MARLEWSKIEGO,
nar. Lincoln i 1-szej av.

— Jeżeli chcecie budować lub renowować dom, pamiętajcie, że Herrenbrück ma na składzie najlepsze drzwi, okna, okiennice (moldings) itd. po zadowalającej cenie. Nar. tej i Lincoln av.

Do czytelników.

Zuwagi, iż literatura nasza jest tak bogata, że z niej korzystają nawet inne narodowości i nawet nieprzyjaciele naszej ojczyzny, co dawniej zakazywali nam czerpania z niej wiadomości, kazując dzisiaj przekładać ją na swój własny język narodowy; z uwagi nadto, iż nie każdemu znany jest cały zakres tejże literatury i treści pojedynczych jej skarbow, postanowiliśmy gromadzić najcenniejszy ten materiał w tygodnik przeznaczony na księgę okazałą z końcem roku, a to, aby utworzyć tanią doborową bibliotekę domową dla każdej polskiej rodziny w poprawnym dzisiejszym języku polskim. Do tego jednak celu, sięgającego nie na dziś lub jutro, lecz w przyszłość pokolenia, nie wystarczy nasze dobre chęci bez poparcia ich przez wszystkich bez wyjątku polaków. Tych bowiem powieści, z których każda kosztuje \$2.00 nie zdołamy połączyć w jedną księgę za \$1.00, jeżeli się znajdą rodziny polskie, nie pojmujące naszego zamiaru. Na taką zaś księgę przeznaczony jest tygodnik "Źródło" i dla tego uważamy za swój obowiązek objaśnić szanownych czytelników i ojców rodzin o jego znaczeniu i wartości, aby takowy niezwłocznie prenumerowali i nie pozbywali się bezwiednie za \$1.00 tej księgi, która będzie zbiorem kilku ksiąg, kosztujących po kilka dolarów. Dotąd jest "ŹRÓDŁO" w rękach 12,000 rodzin polskich.

Rozmaite przybory ogrodowe na składzie u Herrenbrück'a, nar. 1-szej i Lincoln.

FOTOGRAFIE

po połowie ceny.

Nie zaniebujcie przybyć zawczasu, jeżeli chcecie mieć moje trzydolarowe fotografie za dolara i pół.

N. L. STEIN, fotografista,

452 ul. Mitchell, nar. 2giej Ave.

GENOWEFA

POWIEŚĆ z wieków średnich nadzwyczaj interesująca, wyszła z druku starannie opracowana językiem poprawnym i jest do nabycia

w redakcyi "Katolika"

.....ORAZ.....

w księgarni Wiltzius'a.

Jest to dziełko nieocenione dla czytelników wszelkiego wieku i rodzaju.

CENA egzemplarza 25 centów.

Przy kupnie większej ilości daje się rabat.



DOPPELBRAEU

JEST NAJLEPSZE

piwo

W ŚWIECIE

SPRÓBUJCIĘ GO.

KOPALNIA ZŁOTA

jest w obecnych czasach dobra farma.

a takich farm mamy jeszcze kilka set na sprzedaż w najlepszej części stanu Wisconsin, w pobliżu dobrych targów i w odległości tylko kilku godzin jazdy koleją z Chicago i Milwaukee.

Farmerzy w naszych koloniach się bogacą i Wy się zбогаćcie jeżeli kupicie od nas farmy.

Sprzecajemy nasze grunty także na wypłaty na łatwe warunki tak, że nawet gdy nie mając bardzo wiele pieniędzy, możecie od nas farmę kupić.

Wiosna a szczególnie miesiąc Marzec jest najlepszym czasem do przyjechania na grant.

Najlepiej można przyjechać do naszych kolonii wprost do SOBIESKI, WIS., gdzie także mamy ofis gruntowy. Zanim jednak wyruszenie w drogę dajcie nam znać, że przyjeżdżacie.

Po więcej szczegółowe informacje piszcie do:

J. J. HOF LAND CO., Milwaukee, Wis.

BOLESŁAW.

Czyli dalszy ciąg GENOWEFY.

Powieść moralna i bardzo wzruszająca, ze średniowiecznych czasów

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ XIV.

Zdobycie Jeruzolimy.

Krzyżowcy rozpoczęli szturm gestem wyrzuceniem strzał i wielkich kamieni z maszyn, ale ich skuteczność zniweczyły wywieszone przez Saracenów wory, wytłane słomą, lub wiązki chrustu. Zapal wojenny porywał chrześcijan aż na mury, ale tacy ulegali pociskom kamieni i drzewa. spadli zwykłe nie żywi lub okropnie poranieni. Maszyny wnet stały w ogniu zapalone palnymi strzałami, złane wrzącym olejem i żywicą, którymi parzyli Saraceni chrześcijan, a ci więcej musieliłożyć czasu na ugaszenie pożaru niż mogli użyć na ubicie nieprzyjaciół. Dzień pierwszy przeszedł bezskutecznie i nie przyniósł nadziei zdobycia miasta. Ufne tylko spojrzenia na krzyż, którym ozdobiona była wieża Gotfryda de Bouillon, obudzało wytrwałość we walce. Noc zesła bezsennie, bo obawa napaści kazała walczyć czuwając; tu i owdzie z bronią w ręku drżeli nasi wojacy.

Jak tylko dzień poczęło, powstali krzyżowcy do krwawej pracy, rozjątrzeni oporem przeszłodziwnym. Nieprzyjacieli poznali z nawału, z jakim nań nacierali, że tu idzie o zwycięstwo lub śmierć, przeto dobył reszty sił swoich. Szczególniej wywarł złość swą na wieżę księcia Lotaryngii, wyrzuciwszy tam belkę ogromnie grubą najeżoną ostrymi kołkami, owiniętą zgrzebiem i słomą, oblaną smołą i woskiem, zapaloną, ażeby kaleczyć ludzi, palić bez ratunku wieżę. I prawda trudno było usunąć z wieży to niebezpieczne narzędzie, bo trudno je było pochwy-

cić, a siły były za słabe żeby odrzucić, zwłaszcza że nieprzyjacieli wodzący te belkę grubym łańcuchem niweczyły wszelkie usiłowania. Woda nie gasiła takiego płomienia, stępszaniem że miano przy ręku kilka beczek octu, tym więc tłumiono pożar. Siedem już godzin trwała zacięta walka, już wielu walczących chrześcijan osłabionych natężeniem sił walczyć dalej nie mogło; już nawet żywe nadzieje hrabię Normandii i Flandrów stygły i załagały, aby walkę do jutra odłożono; nawet dzielni rycerze księcia Lotaryńskiego ustawali, a nieprzyjacieli wydawał przerażający okrzyk radości, w tem zjawił się rycerz na górze oliwnej rycerz majestatycznej postaci, trzymając promienistą ogromną tarczę naprzeciw miastu jakoby zasłaniając chrześcijan przed pociskiem nieprzyjacieli. Spozstrzegł go Gotfryd i zawołał głosem donośnym: "sporzyście na górę oliwną! Oto nam Bóg posyła z niebieskich zastępów Anioła w pomoc". Widok ten zapalił na nowo chrześcijan: chorzy zebrali resztę sił, kobiety ujęły miecz rękę, aby wspólną siłą za pomocą Najwyższego walczyć. Kzuceno ogromne kamienie przez mury, którymi zdrzuzgotano dwie czarownice z trzema pomocnikami. W godzinę złamano i zniszczono mur, wieża księcia zbliżyła się do drugiego; zapalono porozwieszane worki, których dym i wiatr pędził na miasto, że Turcy nim duszeni i oślepieni nie działać nie mogli. W tem runął pomost z wieży księcia Lotaryngii, służący krzyżowcom do przejścia w miasto; z palaszami w ręku spłynęli się nasi do miasta. Bolesław w pośrodku dwóch braci z Flandryi: Rudolfa i Engelberta, za nim tuż Golo, Anzelm i Seweryn w pomocy mężnemu młodzieńcowi. — Najdzielniejsi Saraceni stanęli w tem tu miejscu, ażeby gdzie groziło największe niebezpieczeństwo, zjednoczoną siłą takowe odeprzeć; na czele ich stanął sam komendant Iftykar Eduała, który wzniósł swą pałac na Bolesława, krzyknął: "Gid chłopcze z rąk moich!" i byłby rozplatał Bolesława gdyby czuwający Golo nie był odbił śmiertelnego razu, który tak był dzielnym, że mimo osłabienia przeciw dotknął piersi Bolesława i opar się tylko

na krzyż, który nosił pod swym kaftanem. Bolesławowi chroniącemu się przed tem cięciem poślizgnęła się noga na rozlanej smołę, kiął, ale tem schyleniem głowy upatrzył miejsce nie ochronione w nieprzyjaciela ciele i gdy ten wymierzał powtórnienie cięcie, Bolesław zwinnie pełną go mieczem, że krew jak z fontany trysnęła. a nieprzyjacieli runął bez zmysłów na ziemię. Jęk rozpaczowy wydał Saraceni, widząc poległego wodza, a ten sparalizował wszystkie ich usiłowania.

Z radośnem uniesieniem rzekł wskazując na młodego rycerza Tankreda do księcia Gotfryda i brata jego Eustachego: "To jest Bolesław, przez którego Bóg skłonił na naszą stronę zwycięstwo!" — Przy zwycięzcy legli Anzelm i Seweryn, nagradzając szlachetną śmiercią dawne błędy swoje. Przez wylom w murze i siekierami rozbitą bramę św. Szczepana rzucili się rycerze i pielgrzymi w miasto wciągając: "Bóg pomaga! — Bóg chce zwycięstwa!"

W tym czasie, gdy Saracenów na tej stronie miasta zwyciężono, o mało naprzeciwnej, gdzie dowodził hrabia Tuluz, nie odnieśli zwycięstwa; wieża bowiem jego, z której walczył, chwiała się już i nie mogła walczyć dłużej utrzymać. Nie mało przeto zdziwiło hrabiego, że nieprzyjacieli ofiarował oddać mu twierdzę Dawida, jak skoro mu pozwoli wolno wyjść do Askalonu; na co hrabia chętnie przystał. Powodem tej ofiary muzułmanów była odebrana wieść, że w tamtej stronie miasta chrześcijanie odnieśli zwycięstwo, o czem hrabia jeszcze nie wiedział. Z takim pośpiechem po ustępie nieprzyjaciela rzucili się chrześcijanie w bramę miasta, że pod jej sklepieniami szesnastu udu-

oblężeni długo byli tego mniemania, że tylko jakaś część krzyżowców walczy przeciw nim, że większość udała się na spotkanie spieszących na odsiecz Egipcjan. Dowódcy utrzymywali zapewne mylnie to mniemanie, ażeby nie nadwagi odwagi swoich, owszem utrzymywać ją aż do ostateczności, a przeto w ulicach miasta trwał jeszcze zacięty o-
pór. Tankred, przy którego boku walczył jak do-

świadczonego rycerz Bolesław, pędził ze swymi opierających się Saracenów. Właśnie przeszli około domu Piłata, gdzie się rozpoczyna droga krzyżowa, a właściwiej drogą boleści naszego Zbawiciela od tego 94 kroków dalej doszli do pobocznej uliczki, przecinającej tę ulicę, gdy spozstrzegli jak Turcy pędzą wielką liczbą niewolnika, którego chcieli stawić na murach na przeciwy zdobywającym, jako tarczę zasłaniającą ich od pocisków i mające zmieknąć zaciętych, w przekonaniu, że brat przeciw bratu nie zechce walczyć. Ale ten pomysł przyszedł za późno, bo krzyżowcy ze Saracenami już za nadciągawszy ręce wzniosłym wołaniem głosem: "Bolesławie! Bolesławie!" — Zwraca w tamtą stronę swój wzrok Bolesław i poznaje choć wycieńczonego nędzą ojca swego. "Tankredzie!" krzyknął radośny, "oto mój znalezionej ojciec, hrabia Sygryd ze Sygrydsburga! Pomóż mi ocalić ojca mego!" — i schwywszy za ramię Tankreda ciągnąc go w tamtą stronę, nie że najmniejsze opóźnienie mogło mu w natłoku śmierć przynieść. Tankreda komenda "stój!" spełzała na nieczem; rozjuszeni zemstą i żupn chęci krzyżowcy nie dali się wstrzymać, a Bolesław widzi już tylko konie pałców wyciągającego ręce i upadającego swego ojca. "Stój!" krzyknął po drugi raz Tankred, a odwróciwszy swego uzbrojonego konia, z wymierzonym oszczepem stanął na przeciwy tłoczącym się, i wsparty bliskim rycerstwem, powstrzymał szczęśliwie natłok. Już Bolesław podźwignął ojca swego, ale tylko uściśnieniem rąk zastąpić musiał przywitanie, bo Tankred rozkazał niezwłocznie tych nieszczęśliwych pod eskortą kilkunastu rycerzy uprowadzić do kościoła grobu Pańskiego. Podług zyczenia Bolesława poszedł z tymi Golo, aby opowiedział ojcu zajścia wszystkie od czasu rozłączenia.

(Ciąg dalszy nastąpi.)